

**BOLESŁAW
LEŚMIAN**

KLECHDY
POLSKIE

Bolesław Leśmian

Klechdy polskie

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843210

Klechdy polskie:

Аннотация

Klechdy polskie to zbiór utworów Bolesława Leśmiana, które po raz pierwszy zostały wydane w 1956 roku, prawie 20 lat po śmierci pisarza. W zbiorze znajdują się baśnie Czarny kozioł, Jan Tajemnik, Majka, Podlasiak i Wiedźma. Leśmian odwołuje się w nich do podań wiejskich, ludowych, pogańskich. Ich bohaterowie, ludzie pochodzący ze wsi, mierzą się z różnymi upiorami, tajemnicami, a niekiedy wcieleniami diabła. Baśnie Leśmiana w intrygujący sposób oddają rzeczywistość dawnych polskich wierzeń i przesądów. Bolesław Leśmian to jeden z najświetniejszych pisarzy i poetów polskich pierwszej połowy XX wieku, uznany za najoryginalniejszego twórcę tych czasów. To twórca nowego typu ballady, zasłynął także charakterystycznym językiem – jego utwory pełne są neologizmów, zwanych leśmianizmami. W swoich dziełach odwoływał się często do wątków fantastycznych, do wierzeń ludowych, czerpał z tradycji baroku, romantyzmu i Młodej Polski, inspirował się Bergsonem i Nietzchem.

Содержание

Czarny kozioł	4
Jan Tajemnik	24
Majka	61
Конец ознакомительного фрагмента.	66

Bolesław Leśmian

Klechdy polskie

Czarny kozioł

Na przednocku Walery Kiepas ujął ze czcią darowany mu przez córkę sędziego niedogodnie cienki ołówek i na kawałku szarego, spod zjedzonej przed chwilą kielbasy, papieru nakreślił przy pijanym blasku powiewającego płomieniem łuczywa imię własne i nazwisko: Walery Kiepas.

Całość kreślił powoli i mozolnie, a każdą z osobna literę z nieobliczalną i niepochwytą dla siebie samego szybkością, jakby się bał, że mu się wymknie spod ołówka, zanim ją do papieru stępionym nieco ostrzem raz na zawsze przygwoździć zdąży.

Czuł bowiem, że o ile całość nagromadza się stopniowo i mitrężnie, o tyle litery poszczególne, gmatwając się skocznie i w oczach, i w pamięci, albo przychodzą od razu, albo nigdy.

Musiał ich tedy i dopilnować, i odpowiednio zacząć się na nie, i wreszcie w chwili stosownej przyłapać.

Córka sędziego, szkoły w mieście świeżo ukończywszy, wróciła na stały pobyt do ojcowskiego domu i pewnego razu, podczas przechadzki zoczywszy¹ z dala nie znanego jej jeszcze

¹ zoczyć (daw.) – zauważyć. [przypis edytorski]

Kiepasa, oceniła go na oko jako pole szerokie dla swobodnego rozwoju jej zamiarów społecznych.

– Niech się zabierze do roboty! – rzekła dość surowo, ze szlachetnym oburzeniem w głosie i w ruchu zniecierpliwionych widokiem nieuka ramion. – Nic mu to nie zaszkodzi.

I rzeczywiście – nic to Kiepasowi nie zaszkodziło. Sam nie wiedząc, jak i kiedy, posiadał mimo woli sztukę pisania i czytania i w nagrodę za pilność oraz pojętność otrzymał od córki sędziego długi i bardzo cienki ołówek, który w duszy kilkakroć do byliny² w polu przyrównywał, a który co dzień na samym dnie jedynego kufra ukrywał, tak że co dzień dla wydobycia ołówka cały kufer musiał starannie przetrzebić³.

Nakreśliwszy swe imię i nazwisko, odczytał głośno: Walery Kiepas, zdziwił się, jak to on sam na tym papierze wygląda, i wyszedł z chałupy.

Chciał pogodę na jutro w niebiosach wyczytać.

Niebiosy pogodne były tak, że gwiazdy wyosobniały się w nich i każda z kolei po swojemu śpieszyła się oczom ukazać.

Kiepas spode łba spojrzął na chałupę sąsiednią, w której mieszkał Tomasz Gryz, człek uparty i nieużyty.

Z chałupy Gryza przeniósł wzrok na jedyną we wsi latarnię, która naprzeciw jego własnej chaty sterczała i sztucznym światłem zmierzchłe liście brzozy pobliskiej odbarwiała na zielono, złoty im odcień i blaszany pozór nadając. Widno było

² *bylina* – roślina zielna. [przypis edytorski]

³ *przetrzebić* – tu: przeszukać, przetrzepać. [przypis edytorski]

w przejrzystym wnętrzu tej brzozy, niby w ołtarzu bocznym, gdy pierwsze świece skróconym płomykiem jarzyć się poczynają.

Córka sędziego, zamiarami społecznymi niestrudzenie powodowana, zmusiła ojca do ufundowania i zatkwienia owej latarni w tym właśnie, bezludnym nieco miejscu, w pobliżu chaty Kiepasza, może pragnąc bezwiednie uczcić w ten sposób pamięć pierwszego swego zwycięstwa społecznego nad ciemną duszą chłopca.

Kiepas nieraz chętnie doskwierał Gryzowi tą właśnie latarnią, jak gdyby jego wyłącznym stała się nabytkiem, a i Gryz, choć niechętnie, uważał ją, zda się, za nieodrodną własność Kiepasza.

Zresztą i chłopcy we wsi nazywali ją zazwyczaj latarnią Kiepasową i chcąc określić miejsce, mówili: „Wedle latarni Kiepasowej” – albo: „Na prawo od latarni Kiepasowej”.

Nie mając innego, taki z niej dla siebie zrobili użytek.

Kiepas nie bez przyczyny ową latarnią oczy Gryzowi kłutł, chciał bowiem przed miesiącem jeszcze jedynaczkę Gryza poślubić, ale ten ostatni odmówił stanowczo i wyprawił córkę do miasta na wyrobek.

– Czemuś mi córkę sprzed nosa, jak te śmiecie zbyteczne, uprząłnął? – pytał Kiepas i nos pocierał.

– Bo chciałem – odpowiadał uparcie Gryz.

– A czemuś mi jej nie oddał, zamiast do miasta, jak owcę głupią na kołowaciznę, gnać? – mówił Kiepas z wyrzutem w głosie i krzywiąc gębę, przedrzeźniał w ten sposób nie samego

Gryza, jeno duszę jego, która w oczach Kiepasa tak mniej więcej w tej chwili wyglądała.

– Bo nie chciałem – odpowiadał Gryz krótko i beznadziejnie.

Wczoraj właśnie Kiepas Gryza na jarmarku spotkał. Gryz głąskał po grzbiecie kupionego przed chwilą kozła. Gryz był zadumany, a kozioł czarny.

– Kozła kupiłeś? – spytał Kiepas, uśmiechając się pogardliwie, bo ilekroć Gryza zaoczył, tylekroć już zawczasu pogardliwym się stawał.

– Kupiłem – odmruknął Gryz.

– Ileś dał? – zagabnął go ciekawie Kiepas.

Gryz powiedział, ile dał.

Kiepas, zawczasu śmiech nagromadzając, wybuchnął nagle tak, aby Gryz zgodnie z rachubą śmiechu głupcem się poczuł.

Nie zawiodła go ta rachuba.

Gryz śmiechu posłuchał uważnie i głupcem się poczuł.

– Kupiłem – powtórzył – ale chętnie bym odsprzedał, bo mi już niepotrzebny.

– Mnie odprzedaj! – zawołał Kiepas i okiem mrugnął.

Gryz spojrział w to oko i na wszelki wypadek odpowiedź, milcząc, odroczył.

– Pożałowałeś mi córki, więc kozła przynajmniej nie poskąp! – napraszał się Kiepas i kozła nogą w brzuch łagodnie uderzył.

Kozioł ożywił się i spojrział w przeciwną stronę.

– Nie odprzedam! – postanowił nagle Gryz.

– Czemu? – spytał Kiepas, żal udając.

– Bo nie chcę – odparł Gryz.

– A przecież sam przed chwilą chciałeś – przypomniał mu Kiepas i kozła palcem, niby świadka, wytknął.

– Przed chwilą chciałem, a teraz nie chcę! – odpowiedział Gryz.

– Już mi się zdawało, że do domu z kozłem wrócę – rzekł Kiepas. – A teraz sam nie wiem, jak to będzie. No więc jakże? Wrócę do domu z kozłem czy nie wrócę?

Gryz zamiast odpowiedzieć, z kozłem w milczeniu do domu ruszył.

Wszystko to Kiepas pogardliwie sobie przypomniał, na chałupę Gryza spode łba pogładając.

Chałupa we mroku białymi ścianami majaczyła ruchliwie, jakby płócienne były i fałdowały się nieznacznie. A czasem znikwała z oczu doszczętnie, aby znów się w całości odbudować i wynurzyć z głębiny sadu, który w pobok niej gęstym zadrzewieniem na tle nieba ciemniał gałęziście – i już to niebu, już to chałupie bliższy się na przemian wydawał.

Od sadu i od chałupy cisza wiała swoista, płotem chruścianym od reszty milczenia nocnego wygradzona, tak że ją z dala mogłeś wyróżnić i wysłuchać z osobna.

W chwili właśnie, gdy Kiepas najzłośliwszym żdźbłem zmrużonej źrenicy chałupę badał, drzwi jej rozwarły się nagle, wyskrzypując ciepło mrocznego wnętrza na świat, po nocy chłodniejący.

Sam Gryz wyszedł z chałupy i przystanął tuż, w pobliżu.

Dziwnie on jakoś przystanął! – pomyślał bacznym Kiepas. – Nie po swojemu i nie po zwyczajnemu, jakby udawał tylko, że przystanął, aby oczy ludzkie otumanić...

Gryz tymczasem ruszył z miejsca i skierował się ku latarni.

Latarnia rzucała na ziemię okrąg złotawy i targała nim nieustannie na strony, jakby go z kurzu chciała otrząsnąć.

Murawa w tym okręgu zieleniała po dziennemu, a jedyny i samotny rumianek zdawał się olbrzymieć niepomierne dzięki wybujałemu cieniowi, który odeń po murawie dłużył się bez końca, jakby to czynił z myślą o innej, nie znanej nikomu, a zgoła niebotycznej roślinie.

Gryz szedł ku latarni krokiem powolnym i na pozór niedbałym.

I chód ma jakiś odmienny! – miarkował podejrzliwie Kiepas. – Nigdy on tak nie chodził i nigdy tak nogami nie przebiera. Licho go wie, co za nogi ma teraz pod sobą. Może własne, a może nie własne. Wszystkiego się po nim spodziewać można, bo człek ponury i niewiadomy... Najczęściej milczy, a kto wie, co by powiedział, gdyby milczeć przestał. Pewno by coś takiego powiedział, że włosy na głowie dęba by stały.

Kiepas przeżegnał się zapobiegliwie i wzroku natężył.

Gryz szedł wciąż w tym samym kierunku i zbliżył się właśnie do latarni.

Ale, zaledwo w jej okręgu złotawym stanął, Kiepas za głowę się oburącz chwycił.

Ni mniej, ni więcej, jeno Gryz bez żadnej widomej przyczyny

znikł z jego oczu. Ani znaku, ani śladu po sobie z rozmysłu pewno nie zostawił. A ma miejscu Gryza zjawił się kozioł czarny, jako zastępca nagły a nieprzewidziany.

Takie to on zajęcie dla siebie po nocy obmyślił! – zawołał w duchu Kiepas, do cna zgorszony. – Nie dość mu tego, że Gryzem jest na utrapienie własne i cudze! Chce mu się jeszcze od czasu do czasu dla rozrywki piekielnej w kozła się przerzucać!... Udawał przede mną, że kozła na jarmarku nabył, a pewno go z rąk czartowskich dla niegodnego użytku otrzymał... A może to nawet i nie kozioł był, jeno on sam w dwóch zarówno nikczemnych osobach!... Dobrze się stało, że kozła nie odkupił. Niech no ja teraz popatrzę, co ten kozioł pod latarnią uczyni!

Kozioł powstał pod latarnią chwilę małą, równą tej, którą Gryz przedtem koło chałupy stojąco spędził, i opuszczając niespodzianie latarnię, ku chałupie Gryza się skierował.

Szedł krokiem powolnym i na pozór niedbałym, nieochajnie⁴ kręcąc zadem i powłócząc długą szerścią⁵, niby spódnicą postrzępioną.

Ledwo dotarł do chałupy, Kiepas od nadmiaru zwichniętego na umyśle zdziwienia rękami w powietrzu, jak wiatrak, bezładnie zatrzepotał. Kozioł znikł z jego oczu, niby starannie z oblicza ziemi zdmuchnięty, a na jego miejscu Gryz zjawił się pilnie – tym razem jako odmianek kozła.

⁴ *nieochajnie* (reg., z ukr.) – niechlujnie, niedbale. [przypis edytorski]

⁵ *szerść* (daw., reg.) – dziś popr.: sierść. [przypis edytorski]

Postać chwilę małą, odpowiadającą ściśle owej, którą kozioł przedtem koło latarni zwłókł, i machnąwszy dłonią, wszedł do chałupy i drzwi za sobą zatrzasnął.

Jakiś ty mądry! – pomyślał Kiepas z radością złowieszczą w duszy. – Córkę rodzoną do miasta z chałupy wygnałeś, aby ci tylko w twych wybrykach czartowskich nie przeszkadzała! Wiem teraz przynajmniej, z kim mam do czynienia! Nie wiem tylko, kto w twojej chałupie główną i odpowiedzialną jest osobą. Czy ty, czy kozioł, czy oboje razem? Kto z was gospodarzy, a kto komu służy? Myślisz, że ci bezkarnie ujdzie twoja nocna w dwie osoby przechadzka i że nikt jej nie widział? Ciekawym, jak mi w oczy spojrzysz, gdy zapytam o to, co się na oczach moich stało!

I Kiepas krokiem zwycięskim zbliżył się do chałupy Gryza.

W chacie ciemność panowała i cisza.

Jeno w głębinie sadu mocował się ze sobą ledwo pochwytny dla ucha a mozolny szmer, jakby w nim po ciemku łódź samotna do brzegu nieznanego przybijała.

Kiepas twarz do szyby przywarł i nakryciem dłoni oczy postronnego światła pozbawił, aby je z wnętrzem izby połączyć.

Ciemno było w izbie i nic wypatrzyć nie mógł, prócz bielejącej naprzeciwko ściany.

Udaje, że śpi! – pomyślał Kiepas. – Ledwo do chałupy powrócił, a już by właśnie zasnąć zdążył. Chce mi snem oczy spylić! Nie dam się!

I Kiepas pięścią w szybę uderzył.

Szyba zadygotała, jak w febrze, i zadzwoniła rześście.

Nikt się na to dzwonienie z izby nie odezwał.

Jeszcze udaje! – pomyślał Kiepas zniecierpliwiony. – Nic mu teraz nie pozostało, jak tylko udawać i udawać... Niech mu przynajmniej to udawanie wedle sił utrudnię.

I znowu pięścią w szybę głośniejsz uderzył.

Jednocześnie niemal z powtórnym uderzeniem na szybie od wewnątrz zarysowała się bezkształtnie spłaszczona twarz Gryza, lgnąca do szyby jak zakalec.

Twarz zresztą nic nie rzekła, zadawałnając⁶ się najzupełniej swym ścisłym do szyby przyłgnięciem. Kiepas z uciechą stwierdził w tej twarzy pytający wyraz kłopotliwej trwogi, lecz pomyślał, że lepiej po nocy sprawy drażliwej nie wszczynać i odroczyć do jutra odpowiedź na pytanie, które w tej twarzy, z nosem u samej szyby na bok przetrąconym, wyczytał.

– Jutro ci powiem, co dziś miałem do powiedzenia! – zawołał i dał znak ręką, że rozmowa poniekąd skończona.

Twarz z oburzeniem odkleiła się od okna i ze złością znikła w ciemnościach.

Domyśla się, że wiem wszystko! – rzekł w duchu Kiepas i powrócił do swej chałupy.

Nazajutrz, skoro świt, czatował już na Gryza, stojąc wytrwale w pobliżu jego sadu.

Gryz wkrótce wyszedł i spojrział na szybę swego okna, jakby chciał sprawdzić, czy tkwi na miejscu. Kiepas też na szybę

⁶ *zadawałniać* (gw.) – dziś popr.: *zadowalać*. [przypis edytorski]

spojrzał.

– Czegoś chciał? – spytał Gryz mrukliwie.

– Niby to nie wiesz, czego chciałem? – odparł Kiepas, pomrugując okiem na Gryza.

Gryz nic nie odpowiedział, dając do poznania, że na słowa z gęby Kiepasowej czeka od niechcenia.

– Powiedz: wiesz czy nie wiesz? – spytał z mocą Kiepas i dłoń tak podniósł, jakby zamierzał nią targu dobić.

– Nie łechtaj mię słowami po próznicy, jeno gadaj wprost – odpowiedział Gryz i wąsa wargami, jak siana ze żłoba, poczerpnąwszy, przymiał go dość mocno, zanim znów na swobodę wypuścił.

– Co ty po nocy wyprawiasz? He? – spytał Kiepas i głową mu na szyi rozwahanej pogroził.

– Patrę przez okno, kto mi szyby pięścią wygrzmaca – odrzekł Gryz i pięść Kiepasowi pokazał.

– A ja patrę na to, jak się ty w kozła czarnego przemieniasz i zadem włochatym do gwiazd się mizdrzysz na oślep! – odparł Kiepas i splunął na łopuch, który w tej chwili pod nogami spostrzegł.

– Głupiś! – rzekł Gryz i na ten sam łopuch splunął niemal jednocześnie.

– Nie głupim, jeno oczy mam we łbie! – zaprzeczył Kiepas, obcasem łopuch oplwany dziurawiąc. – Może się zaprzesz tego, żeś po nocy z chałupy wyszedł?

– Wolno mi z chałupy wyjść – zauważył Gryz i z nieznacznym

pokłonem chałupę wskazał.

– A może się zaprzesz tego, żeś wyszedłszy z chałupy, postął przy niej chwilę małą? – rzekł Kiepas i, przymarszczywszy lewego policzka, brew jednocześnie podniósł.

– I tego się nie zapieram – odparł Gryz, rozwachlarzając dłonie. – Kto z chaty wyjdzie, ten zazwyczaj koło niej chwilę małą postoi.

– A postawszy chwilę małą, nie skierowałeś kroków do mojej latarni? – spytał Kiepas, pośpiewując uszczypliwie i wysuwając naprzód dolną szczękę.

– Tego już nie pamiętam – odpowiedział Gryz i głowę z lekka odwrócił.

– Więc może i tego nie pamiętasz, żeś dotarłszy do mojej latarni, w kozła czarnego się przedzierzgnął? – zawołał zwycięsko Kiepas i ujął się pod boki.

– Głupiś! – powtórzył Gryz. – Pewno widziałeś i mnie, i kozła, i poplatałeś nas we łbie, w którym płacze się wszystko, cokolwiek się tam przedostanie. Kozioł do miejsca nowego nawyknać jakoś nie chce, więc go już kilka razy z drogi nawracać musiałem. Zwichnęło ci się coś we łbie na ten widok i kwita. Znam twoje bajdy nie od dzisiaj i nigdy im ani ucha, ani wiary nie daję. Gadałeś mi przecie, żeś naszego wikarego na samym środku księżycy przyłapał na tym, jak pelerynę nieustannie to zrzucał, to wdziewał. To pewna, że księżyc był osobno na niebie, a wikary osobno na ziemi. A tyś wikarego do księżycy tak właśnie, jak mnie do kozła przyłatał. Nie mógł to wikary innego miejsca

dla wdziwania i zrzucania peleryny znaleźć, jeno musiał aż na księżyc wędrować, aby tam to wszystko, coś mu wraz z peleryną przypisał, załatwić? I mało mu było księżyca, że sam środek jego wybrał?

– Nie moja w tym głowa, a jego, czemu środek upatrzył, a okraje pominął – odparł Kiepas, spychając na wikarego wyłączną odpowiedzialność za wybór miejsca.

– Głupiś! – powtórzył znowu Gryz. – A drugi raz mi opowiadałeś, że sędzina, w kokoszę czarną przeobrażona, dziobem do twej szyby kołatała, upraszając pilnie o pozwolenstwo zniesienia jaja w twej izbie.

– I pozwoliłem! – zawołał Kiepas, podnosząc palec do góry i przytaczając swe pozwolenstwo na dowód, że i reszta zdarzenia tak samo była prawdziwa i rzeczywista.

– Głupiś! – rzekł Gryz. – Tak samo jej twoja izba do zniesienia jaj była potrzebna, jak tobie to jajo do twej opowiadanki durnej! A przyparty do muru upewniałeś na domiar, że czarne było, nie białe.

– To już jej rzecz, nie moja, dlaczego czarne, a nie białe zniosła – zauważył pośpiesznie Kiepas, spychając tym razem na sędzinę wyłączną odpowiedzialność za wybór koloru.

– Głupiś! – zawrzasnął Gryz i ujrawszy w oczach Kiepasa jakieś zaprzeczenie, wzdrygnął się bezsilnie całą swoją osobą.

Kiepas ręką machnął.

– Co wiem, to wiem, i nikt mi tego nie odbierze – odparł spokojnie w poczuciu podejrzanego dla Gryza słuszności.

– Co wiesz? – spytał Gryz.

– A to wiem, że masz z diabłem konszachty – rzekł Kiepas i wytknął palcem rozwarte oburzeniem oczy Gryza.

– Nie rzucaj mi obelg w twarz, bo cię kiedyś w pysk za to lunę!
– odparł Gryz i odwróciwszy się, wszedł z powrotem do chałupy.

Poczekaj no, bratku! – pomyślał Kiepas, pięścią odgrazając się już nieobecnemu Gryzowi. – Niech no tylko noc nastanie, a sprawdzę, kto z nas ma słuszość. Na pewno cię będzie twoja chętką czartowska korciła. Nie wytrzymasz i znów swą przemianę kozłatą wedle układu z diabłem odrobisz!

Noc nastąpiła i o tej samej, co poprzedniej nocy, godzinie Gryz się z chałupy wyłonił.

Nie wytrzymał! – pomyślał Kiepas, dech w piersi tamując.

Gryz powstał chwilę małą i ku latarni swe kroki skierował.

Zaledwo do latarni się zbliżył, a pierzchnął z oczu Kiepasa. Na jego miejscu powstał kozioł czarny.

Kiepas sznur, zawczasu przygotowany, na szyję kozła zarzucił i do latarni go przywiązał. Kozioł z lekka przekrzywił na bok głowę i znieruchomiał.

Kozła mam, więc i jego mam. Ciekawym, co teraz uczyni? – pomyślał Kiepas, patrząc na kozła tym wzrokiem, którym zazwyczaj Gryza obdarzał. Ledwo to pomyślał, a Gryz z chałupy wyszedł.

A to ci bestia! – zaklął w duchu Kiepas. – U latarni stoi uwiązany, a jednocześnie z chałupy wychodzi! A może to nie on,

jeno ktoś trzeci? – zdjął go strach lekki.

– Kto tam? – zawołał, patrząc na zbliżającego się Gryza.

– Czy ślepy jesteś, że nie widzisz? – odparł Gryz. – Znów mi kozioł z zagrody uciekł.

– Niby to nie wiesz, co się z twym kozłem dzieje? – rzekł podejrzliwie Kiepas.

– A co się dzieje? – spytał Gryz.

– Do latarni go przywiązałem – odpowiedział Kiepas z przebiegłym uśmiechem. – Nie masz tam śladów od sznura na szyi?

– Głupiś – odrzekł Gryz i kozła odwiązał.

– A ja co twierdzę, to twierdzę! – rzekł Kiepas z mocą.

– Co twierdzisz? – spytał Gryz.

– A to właśnie twierdzę, że z diabłem konszachty masz! – odparł Kiepas i kozła kolaniem szturchnął.

– Nie miotaj mi obelg w twarz, bo cię kiedyś w pysk lunę – przypomniał mu Gryz i z kozłem, tłocząc się o jego boki, do domu wrócił.

Kiepas milcząc, wzrokiem pogardliwym do końca go odprowadził.

Następnej nocy powtórzyło się to samo zjawisko.

O godzinie, z góry Kiepasowi wiadomej, Gryz wyszedł, jako zawsze, z chałupy.

Postał chwilę małą i ku latarni wolnym krokiem podążył. Zaledwo w jej pobliżu się znalazł, a znikł swoim zwyczajem

z oczu Kiepasa, ustępując miejsca zjawionemu nikąd kozłu.

Kiepas krokiem stanowczym zbliżył się do kozła i w oczy mu zajrzał uporczywie.

– Tomaszu? – rzekł porozumiewawczo, z naciskiem imię Gryza sylabizując.

– Czego chcesz? – zapytał kozioł, ku niewielkiemu zresztą zdziwieniu Kiepasa.

– A więc ty wiesz, że ci Tomasz na imię? – zawołał z tryumfem Kiepas, jakby kozła na gorącym uczynku przyłapał.

– Wiem i nie zapieram się tego – odparł wyraźnie kozioł. – *Nigdy nie wiadomo, co za stworzenie pod powłoką ludzką na świat przychodzi.* Każdy z niej dla siebie i po swojemu korzysta. To tylko pewna, że właściwy jej użytek jest dotąd jeszcze nie znany nikomu. Stąd tyle pomyłek i stąd owo nieustanne zrzucanie w ciemność tej luźnie lub samowładnie, lub wreszcie na opak przywdzianej powłoki, co zazwyczaj śmiercią się nazywa, a co ma pozór dość niedorzeczny, jak gdyby nie osoba przyodziewku, jeno przyodziewek osoby stosownej poszukiwał i znaleźć jej nie mógł. I częstokroć się zdarza, iż przyodziewek bezprawnie przywłaszczony niecierpliwi się i marszczy na osobie źle dobranej, co znów się starością nazywa, a co ma też pozór dziwaczny, jak gdyby nie odbiorca majstrowi, lecz majster odbiorcy zły krój zarzucał. Nie wiem, czyli owo zrzucanie w ciemność i niecierpliwienie się powłoki ludzkiej na osobie, która ją przywdziała, jest koniecznością nieuniknioną, to wszakże wiem, iż pewnego razu sam Bóg

pod tą powłoką na świat i jego słoty przyszedł, i wątpię, aby wspomniany przyrodziewek, osoby poszukujący skwapliwie, godniejszego i właściwszego dostąpił użytku.

To powiedziawszy, kozioł czarny odwrócił się tyłem do Kiepas a skierował się ku chałupie Gryza.

Kiepas w ślad za nim podążył, dziwiąc się w duchu, że tym razem kozioł i większy jest na oko, i poważniejszy, i uroczywszy.

Zaledwo wszakże razem do chałupy Gryza się zbliżył, kozioł, nie zwlekając ani chwili, zniknął dość wprawnie z oczu Kiepas a, zamiast pustki, samego Gryza po sobie na miejscu zniknięcia pozostawił.

Kiepas do Gryza się zbliżył i w oczy mu zajrzał uporczywie.

– Koźle uparty – rzekł porozumiewawczo, z naciskiem wyrazy sylabizując.

– Czego chcesz? – spytał Gryz.

– A więc ty wiesz, że ci kozioł uparty na imię? – zawołał z tryumfem Kiepas, jakby Gryza na gorącym uczynku przyłapał.

– Wiem i nie zapieram się tego – odparł wyraźnie Gryz.
– *Nigdy nie wiadomo, co za stworzenie na świat pod ludzką powłoką przychodzi. Raczej ty byś się zapierał, gdybym cię osłem dla przykładu nazwał, a wszakże, gdybym jeno chciał, mógłbym w tobie nic prócz osła nie widzieć.*

– A czemu nie widzisz? – spytał ciekawie Kiepas.

– Bo nie chcę! – odparł uparcie Gryz.

– Na przekór mnie, czy na przekór sobie? – dopytywał się Kiepas.

– I tobie, i sobie na przekór! – odpowiedział Gryz.

– A ja co widzę, to widzę! – zawołał Kiepas i dłonią w pierś się uderzył.

– Co widzisz? – spytał Gryz, w tę dłoń ukosem wpatrzony.

– A to właśnie widzę, że z diabłem konszachty masz – odparł Kiepas, wydłużając ku niemu szyję i łokcie w tył cofając.

– Poniechaj obelg, bo cię kiedyś w pysk lunę! – odrzekł Gryz i odwróciwszy się do niego tyłem, wszedł do chałupy.

Następnej nocy powtórzyło się to samo zjawisko.

O godzinie, którą Kiepas za umówioną uważał, Gryz z chaty się wyłonił. Postać chwilę małą i w stronę latarni się udał.

Zbliżywszy się do niej, znikł umiejętnie, przekazując opróżnione miejsce pośpiesznie zjawionemu kozłowi.

Kiepas czekał właśnie na tę chwilę i jednym susem kozła dosięgnąwszy, grzbiet jego wełnisty okraczył.

Opowiadał potem, że kozioł czarny, jak zwierz nie z tego świata, poniósł go w dalekie pola i lasy, których opis niezmiernie dziwił słuchaczy, jako zgoła niezgodny ze znanymi im naokół miejscowościami.

Tak czy owak, Kiepas konno na kozle niezły kawał drogi ujechał, nogami włócząc po ziemi, a kończyną własnego grzbietu kłócąc się dotkliwie ze grzbietem na przełaj skaczącego kozła.

Właśnie galopował zuchwale po jakichś jarach, których rozpoznać w biegu nie mógł, gdy nagle zoczył z dala idącego mu naprzeciw Gryza, i widokiem jego wykolejony, osiadł znienacka

na ziemi, uczuwszy przesadnie wielką próżnię pomiędzy kolanami, które kozła z uwięzi ściśle wypuściły.

Gryz ramiona w porę rozkrzyżował i kozła, który poskokami utratę zmysłów zdradzał, pochwycił i dłonią silną okiełznał.

Kiepas się z ziemi nie podnosił, upadek swój w rodzaj spoczynku trafnie przedzierzając.

Gryz z kozłem zbliżył się do niego.

– Czemu chudobę mi dręczysz? – zapytał.

Kiepas na piasku pierwszą literę swego nazwiska kreślić zaczął, lecz nie dokończył.

– Czemu chudobę mi dręczysz? – powtórzył głośniejszym głosem Gryz.

– Tylem ją udreńczył, ile ona i mnie udreńczyła – odpowiedział Kiepas, sapiąc mozolnie.

– Kto ci pozwolił kozła pod wierzch zażywać? – dąsał się Gryz i kozła pchnął przed same oczy siedzącego na ziemi Kiepasa, aby mu pokazać, jak zwierzę po jeździe wierzchowej wygląda.

Wyglądało opłakanie.

– Nie o kozłą skórę, jeno o własną ci chodzi – rzekł Kiepas, uśmiechając się chytrze. – Sam się tą jazdą zmęczyłeś, a kozła do oczu mi pchasz dla niepoznaki. Albo ja wiem, który z was – człek, a który – kozioł?

– Głupiś! – odrzekł Gryz.

– Zły jesteś, żem cię pod sobą kawał czasu miał i żem na twym karku kawał świata ujechał! – odparł zwycięsko Kiepas.

– Głupiś! – powtórzył Gryz.

– A może ci twą kozłą odmianę tak postrzępiłem

i poniszczyłem, że ci się w nią teraz wystroić już niesporo – domyślał się Kiepas.

– Głupiś! – wrzasnął Gryz, nateżając szyję, jakby ją chciał do cna wyżyłować.

Kiepas zamilkł na chwilę.

– A ja co myślę, to myślę – odezwał się po chwili milczenia i grudkę ziemi, w palcach wygniecionej, cisnął za siebie.

– Co myślisz? – spytał Gryz, głosem zawczasu zdławionym.

– A to myślę, że z diabłem konszachty masz – odparł Kiepas i powstał z ziemi stanowczo.

Gryz milcząc w pysk go lunął.

– Jeżeli jeszcze raz tę obelgę powtórzysz, w pysk cię lunę – rzekł, dłoń o grzbiet kozła pocierając.

– A przecież mnie już lunąłeś? – zauważył prawdomównie Kiepas.

– Tym razem na pogrózkę cię lunąłem, a drugim razem lunę cię na pokaranie twej gęby zuchwałej – wytłumaczył Gryz.

Pogróżki otrzymanej Kiepas się nie uląkł, ale obietnica kary niemile go dotknęła.

– Nie będę ci dokuczał, jeśli i ty mnie dokuczać nie będziesz – rzekł z nagłym wybuchem szczerości.

– Jakże ci to dokuczam? – spytał Gryz.

– Dokuczasz mi tylekroć, ilekroć w obecności mojej twierdzisz, że niby *nie wiadomo, co za stworzenie na świat pod ludzką powłoką przychodzi*. Mąci mi się w głowie od tych wyrazów, a ten zamęt dręczy mnie więcej, niżli ja kozła twego

udręczyć zdążyłem. Koziół mię bowiem zrozumiał, a ja tych wyrazów zrozumieć nijak nie mogę.

Gryz obiecał, że nigdy wobec Kiepasa zdania tego nie wygłosi. I dotrzymał słowa. A i Kiepas słowa dotrzymał i nigdy mu już odtąd kozła nie okraczył.

Jan Tajemnik

Chadzał ongi po ziemi Jan swego nazwiska, Tajemnikiem zwany, bo ludzi unikał, na drzewa się boczył i figury przydrożne omijał. Najchętniej po lasach samotnikował, włóczęgą trudząc duszę i nogi. Duszę miał skrytą, a nogi – bose, że to mu los półzłotka na buty poskapił.

Ilekroć bosą stopą ziemi zmacał, tylekroć sercem butów dla się zapragnął. Stąpi po ziemi – i zapragnie, zapragnie i znowu stąpi. Tyle jego, co zapragnie, a w pragnieniu był bardzo nauczny. Głodnemu chleb na myśli, a bosemu buty. Noga nieobuta – we śnie szuka buta.

Umiał Jan-Tajemnik takie buty czasami wyśnić po nocy, że nie wiedział nawet, jak je wzuć na nogi, snem dostatnim zaszczycone. Miewał bowiem z łaski snu onego i srebrne, i zgoła złote obuwie, które nad rankiem pierzchało, jak wszelka inna mara, co to z nią człek we śnie poprzestaje.

Pewnego razu wracał Jan-Tajemnik z lasu do wsi.

Noc była na świecie, noc ponad światem, a i dalej poza światami noc była pewnoć ta sama, a nie inna, bo i po cóż by się miała odmieniać i różnić, kiedy ją jednaka wola Boża z jednakiego wszędy utkała zasepienia.

Księżyc toczył się po obłokach, jakbyć go właśnie srebrnymi szprychami napierzył, żeś ledwo turkotu jego w niebiosach samo chcąc nie dosłyszał.

A na ziemi cisza rozmaita: brzoźowa – w brzoźach, topolowa – w topolach, a płacząca – w wierzbach płaczącym. A owa płacząca tak się jakoś ku ziemi chyliła, jakby kto nowym grzebieniem warkocze jej odwieczne rozczesywał. Wszystko zaś niewidzialne – i grzebień nowy, i warkocze odwieczne, i ten, kto rozczesywać raczył...

Jan-Tajemnik, bocząc się na drzewa i spode łba ciszę rozważając, zbliżył się do młyna popod wioską.

Młyn był stary, popsuty i bezużyteczny.

Coś w nim skrzypiało po nocy pilnie i pracownicie, niby z nawyku i z nałogu, którego pozbyć się nie chciał.

Światło księżycowe zieleniało na nim, krusząc się po sękach i strzępiąc się po zadrach. Popod młynem – staw i grobla przegniła.

Jan-Tajemnik spojrział na młyn i przystanął, jakby go coś tknęło.

Księżyc, stopy jego bosc światłem z mroku wyławiając, położył na lewej talara ku ozdobie, a na prawej – dukata ku pociesze.

Spojrział Tajemnik na ową ozdobę i na ową pociechę. Jedna mu się w oczach zasrebrzyła, druga zazłociła, a on stał nadal, siłą nieznaną do miejsca przykuty. Przykuło go i nie puszczało.

Stoi i patrzy. To na nogi własne zerknie, to na młyn spojrzenie przerzuci. Oczy mu się, widać, w onej przestrzeni pomiędzy bosymi stopami a popsutym młynem zbłąkały, że ich zowąd nie mógł nijak wybłąkać.

Patrzył tak długo, aż się i czegoś dopatrył. Ni mniej, ni więcej, jeno na kole młyńskim ktoś siedzi i z kolei patrzy tak samo, jakby mu się patrzeniem odwzajemniał. To na młyn zerknie, to na stopy Tajemnika spojrzenie z młyna przerzuci.

Nie to zdziwiło Tajemnika, że ktoś wbrew zwyczajom ludzkim na kole młyńskim siedzi, jeno to, że mu się patrzeniem tak starannie odwzajemnia.

Nic, jeno patrzy i poziera, i zerka, i ogląda.

Pewno ślepy się urodził i przejrzał niedawno – pomyślał Tajemnik.

A ów, co na kole młyńskim się utrwalił, uśmiecha się i głową kiwa, jak po starej znajomości.

Księżyc mu się na gębie uśmiechniętej wyiskrza, a on owo wyiskrczenie językiem co chwila zlizuje smakowicie, niby jaką omastę, i znowu patrzy. Zniecierpliwił się Tajemnik, bosą stopą o ziem uderzył i zawołał:

– A cóżeś ty za jeden, u kaduka?

– Piórkowski jestem, iż się tak wyrażę! – ozwał się ów z młyna i w oka mgnieniu sfrunawszy z koła samowicie, zakrzętnął się kędyś w powietrzu i stanął tuż przed Tajemnikiem.

Zmiarkował zaraz Tajemnik, że z diabłem ma sam na sam do czynienia, ale strachu nie doznał.

Piórkowski skłonił się i dłoń na powitanie wyciągnął. Dłoń z pozoru ludzka, lecz nazbyt kosmata.

Namyślił się Tajemnik i po żmudnym namyśle dłoń podaną uścisnął, aby diabła bez potrzeby nie urazić. Uścisnął i po raz

wtóry strachu nie doznał.

– Cóż wy tu we młynie robita, panie Piórkowski? – zapytał po dobru, aby milczenie przykre słówkiem stosownym przerwać. – Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z diabłem zawsze... Markotno mi jeno, że na wasz widok strachu należnego sercem zgoła nie pokosztował, ażem się brakiem onego strachu dwakroć zatroskał, boć to tak, jakby gębie zabrakło splunięcia, gdy się nieszczęsnym trafem pomyjami, zamiast gorzałką, oraczy⁷.

Mówiąc to Tajemnik splunął na stronę, lecz natychmiast bosą stopą plunięcie na ziemi zatarł, aby w ten sposób zatrzeć niemile wrażenie, które mógł na diable ów uczynek poniekąd wyrzucić.

Piórkowski udał, że splunięcia ani widzi, ani słyszy, choć głośne było i znaczne. Uśmiechnął się i rzekł:

– Nie wiem, czyli diabeł z człowiekiem zawsze się schodzi, aleć to wiem na pewno, że bosa noga czasem z butami się styka, aby się w nie przyoblec, jak przystoi. Odkąd po świecie samopas dla własnej przyjemności się włóczę, nigdy jeszcze tak bosych nóg, jak te twoje, nie spotkał! Bo, mówiąc między nami, ani one buta, ani but ich nigdy nie obarczył. Siedziałem tu – na kole młyńskim i myślałem właśnie o nich, ile że o niczym innym myśleć jakoś nie chciałem.

– A cóżeście o nich myśleli, panie Piórkowski? – zapytał ciekawie Tajemnik, kciukiem prawej nogi żłobiąc wprawnie ziemię, zwilgotniałą od rosy.

– Myślałem, że one butom, a buty by się im przydały.

⁷ *oraczyć się* – uraczyć się. [przypis edytorski]

– To prawda! – westchnął Tajemnik, pocierając stopą o stopę.

– Mam ja dla ciebie na widoku parę butów niezgorszych – rzekł nagle Piórkowski i ściszył głos. Ściszył głos i zbliżył się do Tajemnika. Wydało się Tajemnikowi, że i w nim się głos zawczasu ściszył, choć go jeszcze nie spróbował, jeno trzymał gdzieś w piersi na pogotowiu.

– Jakież to buty? – rzekł wreszcie, przysłuchując się własnemu głosowi. Głos był rzeczywiście ściszony.

– Czerwone! – szepnął Piórkowski i mrugnął lewym okiem.

– Czerwone! – powtórzył Tajemnik i też mrugnął lewym okiem, a jednocześnie uczuł, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał, a ogień potrwał jedno mgnienie i zgasł.

– Wyście to ognia skrzesali? – spytał nagle Tajemnik.

– Nie ja – odrzekł Piórkowski.

– A kto? – spytał znowu Tajemnik.

– A o jakim ogniu mowa? – mruknął niechętnie Piórkowski.

Nie umiał Tajemnik opowiedzieć dokładnie, o jakim ogniu mowa. Zaplątał mu się język – i zamilkł. Piórkowski też zamilkł.

Obydwaj pomilczeli przez chwilę.

Pierwszy przerwał milczenie Piórkowski.

– No więc jakże? – zapytał. – Pragniesz tych butów?

– Pragnę!

– Całym sercem?

– Całym sercem!

– Całą duszą?

– Całą duszą!

– I całym rozumem swoim?

W tym miejscu Tajemnik zapóźnił się nieco z odpowiedzią i drożąc się, utkwiał tym rozumem w jakowymś namyśle.

– A czy na pewno czerwone? – zapytał wreszcie, badawczo zazierając w ślepie Piórkowskiemu.

– Na pewno! – zawołał Piórkowski.

– Tedy pragnę ich całym rozumem swoim! – odpowiedział Tajemnik. – Powiedzcie mi jeno, gdzie są owe cuda?

– Poczekaj, bratku! – odrzekł, drożąc się z kolei, Piórkowski. – Zanim powiem ci, gdzie są, musisz mi wprzód zapłacić za zdradzenie nikomu niewiadomej tajemnicy.

– Czymże ja wam zapłacę, panie Piórkowski? – zakłopotał się Tajemnik. – Nic nie mam ani przy duszy, ani przy ciele!

– Mieć – masz, jeno, widać, skąpisz – zauważył Piórkowski i serdecznym palcem wskazał talara na lewej, a dukata na prawej nodze Tajemnika. Leżały tam bowiem dotąd tak, jak je księżyc był położył.

Uśmiechnął się Tajemnik i rzekł:

– Bierzta ów dobytek, jeśli wam się widzi, ale go zagarnijta własnoręcznie, bo ja bym tam tego zgarnąć nie potrafił.

Przycupnął Piórkowski do ziemi, a Tajemnik ze zdziwienia gębę na oścież rozwarł, widząc jak diabeł kosmatą dłonią zdjął talara z lewej, a dukata z prawej nogi, obejrzał je pilnie, zważył na dłoni, zadzwonił nimi w powietrzu i wsunął do kieszeni.

– Dobrze? – spytał Tajemnik, z podziwu wybrnąć jeszcze nie

mogąc.

– Dobrze! – odrzekł Piórkowski z zadowoleniem. – Bywa tak czasem, że gdzie księżyc się zasrebrzy, tam się talar uezbiera, a gdzie się zazłoci, tam się dukat uciuła. Tak czy owak – targ ubity! Powiem ci teraz, gdzie znajdziesz parę butów czerwonych. Bywałeś w tym borze, co na prawo od rozstaju?

– Bywałem.

– Idźże tam jutro w nocy, bo jutro noc Zmartwychwstania.

Ugryził się diabeł w język, wymawiając to słowo, a Tajemnik na dźwięk tego wyrazu pomyślał, iż wypada mu wobec diabła znakiem krzyża świętego swoją powłokę doczesną pokrzepić. Wzniósł więc dłoń do góry i zaczął: „W imię Ojca...” – lecz nie chcąc diabła płoszyć i dręczyć bez potrzeby, dłoń wzniesioną zatrzymał w powietrzu ponad czołem.

Piórkowski spode łba zerknął na dłoń powstrzymaną, co tkwiła jeszcze w powietrzu, jakby zadumana o tym, czy jej po drodze, czy z drogi.

Udał, że nie rozumie tego ruchu, co się tak wielmożnie zapoczątkował, zmarszczył jeno brwi i rzekł pośpiesznie:

– Będę ci ojcował w twej wędrówce po ziemi, tylko opuść dłoń i słuchaj dalej, coć powiem.

Tajemnik dłoń opuścił i słuchał.

– Jutro noc Zmartwychwstania – powtórzył Piórkowski. – W tę noc skarby zaklęte wydobywają się z ziemi na powierzchnię, aby się przesuszyc. Płoną słabym, błękitnawym płomykiem, który się to nieci, to gaśnie, wedle swej potrzeby i wedle swego

zamysłu.

O samej tedy północy wnijdź do boru z motyką za pasem. Patrz uważnie, który skarb największym ogniem płonie. W tym miejscu kop a kop, aż się dokopiesz zamku, który się Przed wiekami zapadł w podziemia.

U stóp zamku stoją buty czerwone. Są one własnością pana owego zamku, alic pan ów jest dzisiaj jeno upiorem. Nie wolno ci do zamku wniść bez tych butów. Wzuj je co prędzej na nogi, lewy but na prawą nogę, a prawy – na lewą, bo takie jest ich przyrodzenie i taki porządek po śmierci. Co na ziemi – lewe, to pod ziemią – prawe, i na odwrót. Obuty w ten sposób idź śmiało do wnętrza zamku, a znajdziesz tam skarby zakłete. Pamiętaj jeno, abyś wracając, nie zapomniał butów zzuć i na dawnym miejscu popod zamkiem należycie ustawić: but lewy po prawej stronie, a but prawy – po lewej. Niech ci nawet w głowie myśl taka nie postanie, aby buty, z tamtego świata wydobyte, sobie przywłaszczyc, bo nie przystoi w takich butach po ziemi chodzić. A choć czerwone – nie bądź na nie łasy. Pozwól im się i nadal pod ziemią czerwienić, bo co podziemne – to nie twoje. Aż nazbyt zadość twym bosym nogom uczynisz, udzielając im przygodnego w onych butach schronu na czas pobytu twego w podziemiach. Chciałem ci ojcować w twojej wędrówce, ale w tej chwili właśnie, napatrzywszy się do syta twej gęby, rozmyśliłem się i poniechałem dobroczynnego zamiaru. Zbyt podłego jesteś pochodzenia i zbyt, pomimo przydomku, nieznanego nazwiska, abym miał cię usynowić i ojcowaniem

dookoła siebie się zatrudniać. Sam sobie ojcuj i bywaj zdrow!

Domówiwszy tych wyrazów, wyciągnął Piórkowski z niegodnej badania kieszeni tabakierę złotą, w najlepszym razie – skradzioną, a w najgorszym przez jakiegoś piekielnego złotnika w dniu imienin ofiarowaną mu na pamiątkę.

Uderzył po niej palcem kosmatym tak głośno, jakby odślonięcie zatajonej we wnętrzu tabaki nie mogło się obyć bez jakiegoś pomnikowego – szalonej pamięci – pioruna, otworzył ją wreszcie i z wielkim znanstwem ujął w dwa palce spory niuch jedwabistego miału. Owym niuchem szczerze wyposażył swój nochal, dosyć pojemny, i kichnął zapamiętałe na cztery strony świata, tędy więc na wschód, na zachód, na północ i na południe.

Pokrzepiony kichnięciem, znikł przed oczu stropionego nieco Tajemnika. Znikł tak nagle i tak usilnie, że Bogu ducha winne powietrze, owym zniknięciem wstrząśnięte, drgało jeszcze i dygotało przez chwil kilka, jakby je zimnica opadła. A wdał się w nie – po zniknięciu Piórkowskiego – zapach dymu, siarki tudzież – z pominięciem tabaki – ów zawiew przykry, który się zawsze zdąży uezierać w miejscu, kędy się diabeł zbytńo zadomowił, a który ponoć w potach diabelskich ma swą przyczynę nikczemną.

Przynagliło go! – pomyślał Tajemnik. – Spieszno mu było do mnie, ale i ode mnie również było spieszno.

Nazajutrz, skoro noc Zmartwychwstania nastąła, pobrnął Jan-Tajemnik do lasu, co na prawo od rozstaju, i tam pod lasem

północy się cierpliwie doczekał.

O samej północy wniknął do gęstwiny leśnej, macając co chwila motyki, którą miał za pasem.

Dziwno i straszno ujrzeć noc Zmartwychwstania w niebiosach, gdy gwiazdy, ostrzami wbite w ciemnotę, jarzą się tak, że widać poza nimi strumieniące się nieustannie powietrze, którym nikt jeszcze nie oddychał, a którego świeżość i głębiej studzienną węższą nozdrza, spragnione powiewów ożywczych.

Dziwniej wszakże i straszniej ujrzeć noc Zmartwychwstania po krzewach leśnych, po jarach i parowach, gdzie i duszno jej, i ciasno, i niewygodnie. Dziwniej i straszniej, bo ma się ją tuż – blisko, tuż – obok na samochoącym dosiężeniu...

Idąc, wyciągnął Jan-Tajemnik przed się swe dłonie grzeszne i dotykał nimi krzewów, jakby chciał zawieruszony w nich mrok tej nocy ugłaskać i oswoić, bo czuł, że gniewna była i o nim zadumana...

A i on miał ją na myśli. Miał na myśli to noc ową, to buty czerwone. To buty czerwone, to skarby zakłete. To znów noc ową... I tak wciąż na przemian.

W końcu zaś zapomniał o wszystkim, prócz butów czerwonych. Rozpanoszyły się one w jego zamysłach ukrytych i tkwią tam jeden obok drugiego, i czerwienią się dobrane, maściste, chodziwe, a tak, zda się, do tańca pochopne, że pokaż im jeno skrzypki, a pewno w miejscu nie ustoją...

Ledwo to pomyślał, a nagle gdzieś na uboczu ukazał się płomyk błękitnawy.

Zrozumiał Tajemnik, że to jeden ze skarbów zaklętych wydobył się spod ziemi na powierzchnię, aby się przesuszyć. Uprzykrzyła mu się wilgoć podziemna, więc płonie teraz z ochotą i przesypuje się garściami, i przesusza. Płonie dorywczo – z przestankami, bo mu widać trudno swą zwilgotniałą zawartość rozżarzyć. To zatli się, to zgaśnie na chwilę, aby znów się zatlić.

Doznam strachu czy nie doznam? – pomyślał Tajemnik, lecz strachu i tym razem nie doznał. Takie już było jego przeznaczenie, że mu strach na drodze do złego nie stawał. Poszedł wprost w kierunku owego płomyka, aż tu nagle i drugi płomyk się ukazał, i trzeci, i czwarty.

Cały las zbłękitnił się zjawionymi płomykami, aż zaroilo się w nim od tych migotów zaklętych, bo w całym lesie odbywało się teraz pośpieszne i pracowite przesuszanie się skarbów, że to wszystko, znużone długim leżeniem i przesiąknięte wilgocią, wypełzło tłumnie z nor podziemnych, niby robactwo, stopą Bożą pominiętą, a dłoniom ludzkim nie zawsze dostępne. Pomimo wrzenia tej pracy pilnej i w sobie skupionej, nie było w lesie słyhać nic, prócz wydechu ziemi parnej i tego piętrzenia się wśród drzew ciemności, która się zмага z własnym nadmiarem.

Tajemnik oczy wytrzeszczył, aby zbadać, który z tych skarbów największym tli się płomykiem. Patrzy i wnioskuje.

Łatwiej mu patrzeć niżli wnioskować, bo tyleż w lesie płomyków, ile w głowie wniosków. Ale go żadna trudność nie przeraża. Nic, jeno wnioskuje i wnioskuje.

Na pewno by ze zbytnej zadumy skołowaciał albo i kręćka jakiego przy sposobności nabył, gdyby mu sam przypadek z pomocą nie przyszedł.

Tuż nieopodal jego stóp bosych ziemia się zakołysała, jako ta woda w cebrze, i wytrysnął z niej na powierzchnię skarb obfity.

Nie tyle nawet wytrysnął, ile się jakoś ciszką a chyłkiem znikąd wygramolił, jakby mu kto drabinę dla ułatwienia onej podróży użyczył.

Rozgościwszy się na powierzchni ziemnej, zatlił się tak sutym płomykiem, że wszystkie inne wobec tego zmały, i jał się przesypywać tak zapamiętałe, żeś w onym rojeniu się i zgiełku nie mógł rozróżnić talarów od dukatów, choć jedne i drugie migotały rześcicie w świetle błękitnym.

Ten ci się przesusza, jakby nic innego przez całą wieczność nie robił! – pomyślał Tajemnik, przyglądając się błyskotliwym a niepochwytnym wirowaniom srebra we złocie, a złota we srebrze, a zaś obojga – w błękitnym rozwidnieniu. – Ślepy by chyba zrozumiał, że w całym lesie ten skarb jest największy!

Taką myślą ulżywszy swej zmuźnej dotąd zadumie, Tajemnik bosą nogą naprzód się pokwapił, przycupnął zniecka i dłoń wyciągnął, aby skarbu dostać, a skarb – smyrę pod ziemię! Nie ma go, jakby nigdy nie było!

Takiś ty oględny i do znikania skory! – pomyślał znowu Tajemnik. – Wolisz ty pod ziemię się wylegiwać niż w ludzkiej kieszeni serdeczną szczycić się gością? Poczekaj no, bratku! Nie chciałeś ty po swej woli przyjść do mnie, przyjdę ja wbrew

twojej woli do ciebie!

Ujął Tajemnik oburącz motykę i uderzył nią po ziemi w tym miejscu, gdzie skarb zaklęty przed chwilą swą tajemnicę złocistą oczom jego obnażył.

Ziemia, motyką zraniona, sama się rozstała posłusznie i bezopornie. Coś w niej tylko westchnęło, zapodziało się w sobie, ułożyło się wygodnie i, znieruchomiawszy, zamilkło.

Westchnęło niemal po człowieczemu, a zamilkło zgoła nie po ludzku. I ukazał się w niej, niby w samym środku onego milczenia, otwór głęboki, od spodu światłem, jak pyłem złotym, z lekka tu i ówdzie potrząśnięty.

Przykucnął Tajemnik i zajrzał skwapliwie do otworu, a tam – u samego pobrzeża – drabina wisi, pewno ta sama, po której skarb zaklęty piał się żywcem ku górze, zanim się na powierzchnię ziemi przedostał. Ale drabina krótka, niecałkowita, z trzech jeno stopni złożona, nie tylko do dna otworu nie sięga, lecz kończy się tuż u pobrzeża; ledwo się zaczęła, a już i ku końcowi swemu dobiegła, jakby naumyślnym skrótem chciała wniść do otchłani utrudnić.

Po takiej drabinie ani wzwyż do nieba, ani w dół do piekła nie zajdziesz! – pomyślał Tajemnik. – Do nieba – za niska, do piekła – za krótka.

Mimo to, nie mając na podorędziu dłuższej drabiny, pogodził się i z tą, która w zjawionym otworze Bóg wie dla jakich potrzeb i dla jakiego użytku tkwiła usłużnie, może nawet własnej krótkości nieświadoma. Bosą nogę do otworu pilnie wściubił

i na pierwszym stopniu umiejętnie ją utwierdził. Postąpił na tym stopniu chwilę przelotną, jakby dla wypróbowania, czy drabina brzemię jego należycie podźwignie, i na drugi stopień się osunął, a potem na trzeci. Na trzecim przystanął i, jedną nogę luzem za się postroniwszy, jął bosą piętą macać naokół powietrze, światłem zaprószone, w tej nadziei, iż coś stałego zmaca.

Aż tu nagle poczuł, że się drabina w sobie zmaga i krzepi, i jakoś rozkurcza. Spojrzał pod się na drabinę, a drabinie ni stąd, ni zowąd czwarty stopień przybył.

Tajemnik luźną nogę, w powietrzu myszkującą, natychmiast do powrotu przynaglił i do stopnia nowo przybyłego pośpiesznie przywarł.

Ledwo to uczynił, a drabinie już i piąty stopień znikąd przybywa.

Od przybytku głowa nie boli! – pomyślał Tajemnik, na piątym stopniu utrwalając swe brzemię, bosymi nogami czynnie zakończone. – Nie taka głupia ta drabina, jak mi się po pierwszynie wydało. Umie się ukrócić, aby pod ziemią miejsca zbyt wiele bez potrzeby nie zagarniać, ale też i rozrastać się potrafi, gdy po temu konieczność i sposobność się zdarzy.

I rzeczywiście – co prawda, to prawda. Drabina się rozrasta i rozrasta w miarę tego, jak Tajemnik z wyższego stopnia na niższy nogi bose omackiem przemiejscawia.

Rosną na niej te stopnie, jak grzyby po deszczu. Zdawałoby się, że drabina wraz z Tajemnikiem schodzi do ziemi, aby ją wespół z nim nawiedzić.

Schodził Tajemnik tak długo, jak długo drabina się rozrastała, a gdy zatrzymała się w swym rozroście, zatrzymał się i Tajemnik w swym zniżeniu⁸.

Zatrzymał się i spojrzał w górę – ponad siebie, gdyż dotąd, zajęty podróżą, w górę oczu nie podnosił.

Spojrzał – i gębę rozdziawił od zbytniego wrażenia! Wszystkie górne stopnie znikły z taką samą łatwością, z jaką przed chwilą przybywały.

Pozostał jeno ostatni, na którym Tajemnik trwał jeszcze z gębą rozdziawioną. A i ten znikł bez śladu, gdy na ziemię zeń uskoczył.

Nie taka głupia ta drabina, jak mi się po pierwszyżnie wydało! – powtórzył w myśli Tajemnik. – Drogę mi ułatwiała⁹, a powrót utrudniła.

Niedługo się jednak frasował tym, co mu się stało. Nagliła go ciekawość i butów czerwonych żądza nieodparta. Obejrzał się naokół, czy gdzie zamku zakłętego albo butów czerwonych nie zaoczy¹⁰.

Przed nim – murawica¹¹ niska, która się pewno wraz z zamkiem pod ziemię ongi zapadła. Dotąd się jeszcze zieleni po dawnemu już to z przyzwyczajenia, już to dla tej przyczyny, że nic innego czynić nie potrafi, jak właśnie zielenić się, choćby

⁸ *zniżście* (daw.) – zejście. [przypis edytorski]

⁹ *ułatwiała* – może powinno być: ułatwiała. [przypis edytorski]

¹⁰ *zaoczyć* (daw.) – zobaczyć. [przypis edytorski]

¹¹ *murawica* – trawa; por. murawa. [przypis edytorski]

nawet po ciemku. A i nie bardzo po ciemku, bo to samo światło, które ostatkiem spylonego pobrzasku dozłacało się u pobrzeży otworu, jaskrawi się po niej i żdźbła jej zielone do rozkwitu zagrzewa.

Opoдал murawicy – zamek stoi zakłęty, rzęsiście oświetlony. Z niego to właśnie wysnuwa się światłość nieustanna.

Marmurowe wschody prowadzą do złotych wierzej¹² samotnego zamku. Tuż popod wschodami para butów czerwonych tkwi, jak na czatach. Tkwi i czerwieni się pod ziemią, jakby ta czerwień, wiekując, nabrała mocy niespożytej i koloru niezniszczalnego. Mrugnął Tajemnik lewym okiem i uczył, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał. Przypomniał sobie natychmiast, że miał już taką iskrę w oku, gdy mu Piórkowski o tych butach prawił.

Spojrzał ukradkiem na swoje nogi bose i w te pędy do butów się zbliżył.

Pogłaskał je pieśczołliwie, rękawem nieco potarł dla wzmożenia połysku i gwoli wzucia ustawił tak, aby lewą nogą w but prawy, a prawą w lewy utrafić.

Wówczas ze czcią i radością swe nogi bose wprowadził do ich wnętrza, jak na nowosiedliny – do przestronnego a wygodnego pomieszkania. Dobrze było tym nogom w butach! Tak dobrze, że się po nich jakaś słodycz nieznana rozlała. Uczuły się lekko i skocznie, jakby im do tańca grano.

¹² *wierzeje* – drzwi, zazwyczaj potężne; wrota. [przypis edytorski]

Nigdy jeszcze Tajemnik nogami swymi tak, jako teraz, nie poruszał. Szły nie tylko chętnie, ale i tanecznie.

Toteż wbiegł po wschodach¹³ marmurowych z taką ochotą, jakby płasem porwany. Wszedł do wnętrza zamku – z komnaty do komnaty wędrował ciekawie, a płas, w nogach zatajony, nie ustawał i nie zamierał.

W komnatach światłość i bezludzie.

Popod ścianami – wory dukatami i talarami upchane, a u każdych drzwi, na oścież rozwartych – koń stoi coraz to innej maści.

Ale koń to nieżywy, zastygły w posąg kamienny takiej barwy, jaką była maść jego na ziemi.

Jeden – bułany, drugi – wrony, trzeci – kasztanowaty, czwarty – cisowy, piąty – jabłkowy, szósty – gniady, siódmy – siwy. Kto by tam zliczył owe konie!

Stoją u drzwi, jedną nogę wzniosłszy ku górze, jakby z miejsca ruszyć miały.

Czapaki¹⁴ na nich – malinowe, siodła – złociste z terlicami¹⁵. Stoją w pogotowiu.

Może i przyjdzie taka chwila, że z miejsca ruszą... Bo na pewno, gdy archaniołowie zatrąbią, aby zmarłych i żywych przed oblicze Boskie na sąd ostateczny powołać, konie owe, zasłyszawszy trąb odgłosy, pomyślą, że bitwę kędyś otrąbiono,

¹³ *wschody* (daw.) – schody. [przypis edytorski]

¹⁴ *czaprak* – przykrycie konia kładzione pod siodło. [przypis edytorski]

¹⁵ *terlica* – sztywna część siodła. [przypis edytorski]

i z miejsca wówczas ruszą... Ale kto ich tam w chwili takiej dosiędzie!

Stoją tymczasem bez ruchu, niby na straży. Czaprakami okryte, śmiercią w biegu powściągnione.

Tajemnik przechodził obok nich, połyskując czerwonymi butami w świetle, które napełniało zamek, a które nie wiadomo skąd wynikało. Dukaty i talary iskrzyły się w worach.

Przed chwilą jeszcze na powierzchni ziemi przesypywały się garściami, jak żywe, a teraz – zamarły w bezruchu.

Ukryły się do worów, wzrokiem ludzkim spłoszone. Może i nie wiedzą o tym, że je zdradza połysk niespokojny.

– Tuście się zataiły, połyskliwe, zazdrosne! – szepnął Tajemnik, zbliżając się do worów. – Nie zdążyło się jeszcze to robactwo tchórzliwe przesuszyc, a już spod ręki umknęło, aby mi siebie poskapić! Nauczę ja was szczodrości i hojności!

Po kolei Tajemnik zanurzał dłonie we worach, gruntując je aż do dna. Garściami wsypywał dukaty i talary do kieszeni, do czapki i za pazuchę. Tak się w nie skrzątnie zaopatrzył, że wyglądał jak brzuchaty i zbyt otyły, prócz gęby, która wrodzoną chudość, chcąc nie chcąc, zachowała.

– Czas mi już pono wrócić na ziemię – mruknął po namyśle. – Śpieszno mi do tego, aby się ze sobą samym, jako z osobą bogatą, żyć i porozumieć stosownie, bo już ja nie ten, co dawniej, więc mi nie przystoi po dawnemu siebie traktować. A nie wiem jeszcze, jak mam siebie traktować i jak się dookoła własnej osoby krzątać, bo wszystkiego trza się nauczyć. Czy za pan brat

być ze sobą, czy nie za pan brat?

I, popląsując, skierował się ku wyjściu.

Buty go niosły tak lekko, jakby on szedł na swoją rękę, a one – na swoją. On – sam przez się, i one – same przez się. On po swoim, i one po swoim. Nie wiedział w końcu Tajemnik, kto kogo nosi i kto za kim idzie. Wygodę miał z tej przyczyny i skoczność, i wypoczynek nieustanny. Nie tylko czuł się obuty, lecz i obsłużony, i obtańczony.

Pośpiesznie zbiegł ze wschodów marmurowych i przystanął u ich podnóża.

Wypadało właśnie zzuć buty i ustawić je popod wschodami – lewy po prawej, a prawy po lewej stronie. Tak mu sam Piórkowski doradzał. A wiedział Tajemnik, że diabeł kusić – kusi, lecz kłamać – nigdy nie kłamie. Jeśli doradzał tak a tak, to znaczy, że tak a tak być powinno.

Spojrzał Tajemnik na buty czerwone i zadumał się śmiertelnie.

Zzuć czy nie zzuć?

Podumał, podumał – i zzuć postanowił. Gdy w nim to postanowienie zapadło, uczuł w sercu żal i smutek luty¹⁶.

Przysiadł na wschodach i dłoń już wyciągnął, aby zzuć, ale ledwo dłonią butów dotknął, po raz pierwszy w życiu strachu doznał.

Doznał strachu na myśl, że się z tymi butami rozstanie.

Takiż to jest ów strach, któregoś dotąd nigdy nie

¹⁶ luty (daw.) – okrutny. [przypis edytorski]

pokosztował? – pomyślał, zasepiając czoła. – Chodzi on mi po kościach, jak ciągota bolesna, rozłąką z butami zasmucona. Chodzi po kościach i pomawia mnie o niewdzieczność względem tych czerwonych dobrodziejów, i pstrzy się w oczach, niby łyzy nieproszone... Raczej but bez nogi, niżli noga bez buta, ma na świecie i zastosowanie jakieś, i umiejscowienie, i samowitość... Niech mię Bóg broni od tego, abym miał z własnej i nieprzymuszonej woli nogi moje brakiem onych trafnie dopasowanych przytułków upośledzić i marnotrawić! Otóż nie zmarnotrawię i nie upośledzę!

Tak rzekł i postanowił nóg swoich na dokuczliwą rozłąkę z butami nie narażać.

I nie naraził.

Zaraz mu na sercu ulżyło.

Pobiegł przez murawicę ku otworowi, którądy do podziemi był się przedostał.

Drabina wisiała, jak poprzednio, u samego pobrzeża otworu. Znow ci była skrócona i niecałkowita. Trzy jeno stopnie widniały na niej w świetle, które od spodu resztą złotawej fali doplusnąć zdołało.

Zafrasował się nieco Tajemnik niedostatkiem potrzebnych stopni i bezpowrotnością drogi przebytej.

Z tęsknotą utkwiał wzrokiem na pierwszym stopniu. Przeniósł wzrok na drugi i na trzeci, a z trzeciego opuścił na to miejsce, gdzie dawniej czwarty stopień tak się w czas i pożytecznie z niczego uklecić czy też uciosać raczył.

Ledwo to uczynił, a czwarty stopień przybył, majstrując się bez niczyjej pomocy w oczach Tajemnika i utwierdzając się starannie na swym miejscu, jakby mu pilno było na świat przyjsć znikąd i w poprzek drabiny znieruchomieć.

Tajemnik radosnym uśmiechem powitał jego narodziny pożądane i natychmiast wzrok, od tego stopnia oderwany, niżej nieco ze wspomnianą tęsknotą ugruntował.

Piąty stopień przybył bez omieszki¹⁷.

I w miarę jak Tajemnik wzrok swój z miejsca na miejsce przenosił, przybywały drabinie stopnie jeden za drugim, aż przybyły wszystkie.

Wówczas Tajemnik, ani chwili nie zwlekając, jął się po drabinie wspinać.

Buty czerwone niosły go wzwyż tak lekko i tanecznie, że w oka mgnieniu znalazł się na powierzchni ziemi.

Odetchnął wesoło i zajrzał do otworu.

Ale otworu już nie było, jakby nigdy nie istniał.

Dobrze to takiemu otworowi na świecie! – wywnioskował Tajemnik. – Inni trują się i kłopotczą, aby weń wleźć lub zeń wyleźć, a on tkwi sobie w ziemi beczynnienie i ani mu w myśli jakiegokolwiek zniżsć lub wyjście, bo sam jest jednym i drugim.

Noc Zmartwychwstania nie przeminęła jeszcze.

Tu i ówdzie błękitniały niespokojne płomyki przesuszających się skarbów.

Czasem drzewo samotne zaskrzypiało, pacząc się od wonnej,

¹⁷ bez omieszki – nie omieszkając; natychmiast. [przypis edytorski]

przejrzalej wilgoci.

Czasem spróchniała gałązka, złamana w najkrótszym kolanku, spadała, nie chcąc, na ziemię i uderzała po drodze o pozostałe sęki i gałęzie, jakby rachując je w przelocie nie mogła podolać tej przygodnej rachubie.

A ciemność snuła się po krzewach, biegła po drogach leśnych, przemykała się bezdrożami i, odbita od ziemi, cwałowała ku górze, niby konno i na skrzydłach, i pławem, i samym zamysłem niepochwytnym...

Czułeś hen – ponad lasem jej piętra puste, w niebiosy wparte, a stojące otworem dla wszelkiej zmory wędrownej, bezprzytułkiem umęczonej, a nocą Zmartwychwstania zaskoczonej pomiędzy niebem a ziemią.

Tajemnik pośpiesznie pomknął lasem, na oślep drogę zgadując.

Buty czerwone niosły go, ujmując stopom trudu i zbytecznej mitręgi. Czuł się tak, jakby sam siebie wziął na barana, gwoli ułatwienia podróży, lub jakby w jednej osobie był i jeźdźcem, i wierzchowcem.

Biegł, popląsując, a buty co chwila, jakby dla większej zachęty, krzesaly ognia podkówkami, skrząc się w ciemności i żarząc się swą czerwienią wiekuistą. Odblask purpurowy padał od nich na murawę i chwiał się na niej plamiście. Ten sam odblask ruchliwym swoim szkarłatem oświecał od spodu twarz biegnącego Tajemnika.

Ktokolwiek by go teraz ujrzął z daleka, pomyślałby na pewno,

że nogi jego objęte są pożarem, a twarz polśniona łuną.

Wybiegłszy z lasu, zboczył ze zwykłej drogi, aby ludziom czerwonymi butami w oczy nie zaświecić.

Skierował się ku bezdrożom i pustkowiom.

Stała tam lepianka opuszczona, która już się w połowie rozpadła.

Do jej wnętrza zawieruszył się Tajemnik.

W kącie leżało trochę siana i słomy. Tajemnik na sianie do snu się ułożył, a słomą buty starannie opatulił, aby poblask czerwieni wiekuistej nie zwabił do wnętrza przypadkowego przechodnia.

Zasnął po raz pierwszy w życiu obuty i dukatami obciążony.

Przespał resztę nocy i cały dzień następny, i wieczór.

I znów noc – druga z kolei – nastąpiła, a on spał, pochrapując.

Byłby i tę noc przespał bez mała, bo go nadmiar szczęścia uznoił i przymusem sennym, niby jakimś opatrunkiem jedwabistym, na sianie znieruchomił, ale o samej północy dusza mu w ciele, jak w tej komorze ciemnej, niepokoić się zaczęła, a serce do piersi zapukało, niby do drzwi, snem właśnie zapartych.

Ocknął się, ale nie chciało mu się powiek, resztą snu oślepyłych, na jawę rozewrzeć.

Nie chce się i nie chce.

Trwa tedy z powiekami zamkniętymi, aż tu nagle słyszy już to stapanie czyjeś, już to nie słyszy nawet, jeno czuje i węszy czyjś pobyt we wnętrzu lepianki – pobyt sam przez się – bez żadnego stapania, bez odgłosu, bez szmeru.

Nie umiałby nawet powiedzieć, czemu wyczuł czyjąś w pobliżu obecność, ale mógłby przysiąc, że ktoś tu nieopodal czy to stoi, czy też trwa, albo raczej tkwi tak, jak drogowskaz na rozstaju.

Postronił nieco jednej powieki, żeby oku dać szparę dla wyjrzenia, i natychmiast owa szpara wypełniła się przygodną częstką oglądanego przedmiotu.

Rozszerzył Tajemnik szparę, aby całość obejrzeć. Obejrzał całość i dech zataił.

Przed nim na środku lepianki stał upiór barczysty, wąsaty i bosy.

Tajemnik stopy jego bose zauważył od razu.

Domyślił się, że stoi przed nim właściciel butów czerwonych.

I znowu doznał strachu na myśl, że zbliża się straszliwa chwila rozłąki z butami.

Ale tym razem strach nogi mu zdrętwił, a gardziel zdławił, niby powróstem¹⁸ piekielnym.

W lepiance cisza, jakby nikogo nie było, choć dwóch w niej przebywa, bo każdy z tych dwóch swoją usilną zachowuje ciszę.

I łączą się obydwaj w tej ciszy, i dwoją, każdy po swojemu zacajony i po swojemu nieruchomy.

Choćby mi przyszło skamienieć, nie poruszę się pierwszy! – pomyślał Tajemnik. – Niech on się pierwszy poruszy, jeśli mu śpieszno do ruchu w ciemności.

W tej chwili właśnie upiór się poruszył.

¹⁸ powrósto – sznur. [przypis edytorski]

Jego powłoka przejrzysta, ruchem z lekka wstrząśnięta, wydała ze siebie zapach mogilny, który pośpiesznie napełnił wnętrze lepianki i dosięgnął, jakby umyślnie skierowaną falą, nozdry Tajemnika.

Musiał teraz wdychać to zarażone powietrze, które za każdym westchnieniem coraz bardziej obezwładniało go i przepajało swym jadem.

Bierze mnie w swe trupie posiadanie! – pomyślał resztą się wylekłych.

Upiór węża pokręcił, brwi przymarszczył, a potem dłonie odbydwie wyciągnął przed siebie, poruszając skwapliwie palcami, jakby chciał coś pochwycić.

Usta jego rozwarły się, zamknęły i znowu rozwarły.

Mówił czy nie mówił?

Nie słyhać było słów żadnych.

Pewno chce, abym ja pierwszy przemówił – pomyślał znowu Tajemnik. – Niech sam to uczyni, jeśli mu śpieszno do rozmowy.

W tej samej chwili głos, podobny do echa potwornego, wydobył się z gardzieli upióra. Tajemnik nie mógł na razie słów od samego głosu odróżnić, bo głos bardziej przykuł jego zdrętwiałą uwagę niżli słowa.

Powoli jął się wsłuchiwać i nawykać do brzmienia tego głosu, aż wreszcie zrozumiał.

– Oddaj buty, oddaj buty! – rzeził bosy upiór.

Butów nie oddam! – pomyślał stanowczo i uparcie Tajemnik, ale się słówkiem jednym nie ozwał, bo i dech mu sparło, i język

mu w gębie skołowaciał, i zgoła nie chciał należeć do rozmowy, chociaż się jego tyczyła i dokoła niego się obracała.

Starał się jeno zgadnąć, co ma czynić i czego się trzymać, aby się do rąk upiora nie dostać.

Zgadywał tak długo, aż zgadł.

Zgadł, że upiór wówczas tylko pochwycić go zdoła, gdy buty czerwone zobaczy.

W przeciwnym razie żadnego prawa doń nie poczuje, noc w lepiance przestoi, a nad rankiem, skoro trzeci kur zapieje, pierzchnie tak samo bosy, jak bosy się zjawił.

Buty były słomą starannie opatulone.

Chciał Tajemnik z pościeli siana garść zaczerpnąć, aby je na wszelki przypadek jeszcze doosłonić, lecz – mimo wysiłku – nie mógł ręką poruszyć.

Ręce miał bezwładne.

Zaduch trupi coraz bardziej zatruwał i przesycił jego ciało, na słomie poległe.

Spojrzał znów na upiora.

Upiór stał po dawnemu i wyciągał dłonie, i szeptał:

– Oddaj buty, oddaj buty!

Nie oddam, bom nie po to je nabył, aby oddawać! – pomyślał Tajemnik. – Możesz tu stać po prośbie aż do trzech kurów i trupim swoim zapachem pod sam nos mi kurzyć bez wytchnienia! Wiem, że mię nie tkniesz dopóty, dopóki się naocznie nie przekonasz o obecności na moich nogach skradzionego obuwia. A i to wiem, bratku z tamtego świata, że

chętnie byś połowę swej wieczności oddał za to, żeby choć jeden, na ten przykład lewy, but wysunął mi się spod słomy i oczom twoim zalecił się w całym swym przepychu purpurowym.

Zaledwo to pomyślał, a uczuł nagle, że lewa noga zdrętwiała mu do reszty i bezwolnie, całym swym brzemieniem doczesnym osuwa się i ześlizguje z maluczkiej wysokości siennego barłogu na ziemię, jakby właśnie jej nieogłębny właściciel – wbrew zabobonnym obyczajom – lewą nogą chciał wstać z pośłania.

– Oddaj buty, oddaj buty! – zawołał głośniejszym głosem upiór i, zda się, baczność swą natężył.

Tajemnik uczynił i zewnętrzny, i wewnętrzny, lecz zarówno bezskuteczny wysiłek, aby nieposłuszną nogę w tej podróży rozpaczliwej powściągnąć i jej zapędy samodzielne pohamować.

Noga odmówiła mu wszelkiego posłuszeństwa.

Bezwładny i bezsilny czekał na to, co się stanie za chwilę.

Wydało mu się, iż właśnie nogi uknuły przeciw niemu spisek niegodny i zdradziecki.

Przerażenie jego wzrosło, gdy zrozumiał, że nie nogi własne, jeno buty cudze, dając ujście swym nałogom tanecznym, zakrzętały się ciszkiem na podściółce siennej i – najwidoczniej – zdradzają nieprzepartą chęć skrzեսania ognia podkówkami.

Taniec rozpoczął but lewy.

Rozpoczął nieznacznie, niemal niepostrzeżenie, jakby upajając się swym przedwstępnym do zamierzonego tańca zdążaniem.

Za nim w ślad podybał but prawy, wlekąc zawartą w jego

wnętrzu a bezwładną i bezradną nogę Tajemnika.

Zachowanie się butów na podściółce siennej nie uszło zagrobowej uwagi czatującego upióra.

Pochylił się ku nim pilnie całym widmem swej nieważkiej a barczystej postaci, zabłysnął białkami swych spod ciemnej gwiazdy ślepi i wyciągnął chciwie zaczajone dłonie, które się czujnie najeżyły ruchliwymi palcami.

Zdołał Tajemnik z trudem głowy nieco wzwyż unieść, aby się własnej klęsce przyjrzeć.

Przyglądali się oba z jednakim natężeniem.

A buty coraz wyraźniej szły w tan, nie zważając na to, czy ów tan jest zgodny z obumarłą wolą i z opłakanym stanem nóg, które w nich tkwiły, jako dwa szczury wędrownie w nie byle jakiej pułapce.

Szły w tan i już kilka razy w swych słomianych powijakach popisały się próbnym a zręcznym podrygiem.

Coraz im przybywało ożywienia i ochoty beztroskiej, aż wreszcie, ześlizgnąwszy się całkowicie z postania na ziemię, otrząsnęły ze siebie słomę natrętą, rozbłysły w ciemnościach swą purpurą wiekuistą i w sam nos pochylonego upióra skrzesały ognia podkówkami.

W oka mgnieniu upiór ułapił je oburącz i, pociągając wraz z nimi obutego a bezwładnego Tajemnika, wybiegł z lepianki na świat, nocą objęty.

Zanim Tajemnik zdążył zmiarkować, czy ma jeszcze buty na sobie, czy nie ma, upiór wraz z nim uniósł się w przestwory,

przeciwstawiając się barczyście wiatrom przeciwnym, które mu widocznie drogę utrudniały.

Polecieli.

Noc, choć wietrzna, jaśniała pogodą. A nadmiar pogody był tak wielki, że aż zgrozą na wysokościach przejmował. Gdziekolwiek okiem rzucisz – tam pogoda, w nieskończoność na oślep idąca. Ani w niej namysłu, ani zrozumienia siebie samej, ani żadnego w niebiosach opamiętania.

Po prawdzie mówiąc, trudno było i nieporęcznie Tajemnikowi gdziekolwiek okiem rzucić, bo wisiał nieborak do góry nogami, mając jedną otchłan pod sobą, a drugą nad sobą – i w obydwu onych otchłaniach czuł się zarówno obco i nieswojo.

Wąsaty upiór, ociążałym lotem sunąc się po gościnnych przestworach, dzierżył go wciąż za nogi, podeszwami obcisłych butów ku niebiosom strojnie zwrócone.

Wiekuiasty szkarłat tych butów jarzył się po nocy i rozpraszał naokół odblaski, niby czerwone a zwiewne ochłapy zbyt kownie panoszącego się płomienia.

Tajemnik poprzez cholewy sute wyczuwał dokładnie kurczowy uścisk łownych i czepliwych palców obrzmiałego śmiercią upiora.

Wisiał, głową ciężąc ku padołom i znosząc taką niewygodę w niebiosach, jak gdyby się w tych obszarach powietrznych z ciasnotą co chwila spotykał, bo ani tu stać, ani polec, ani usiąść po ludzku, jeno wisieć, jako ten powróż na kołku, z tą na domiar różnicą, że zamiast kołka – upiora ma się nad sobą, dla tym

większej hańby i uprzykrzenia.

Tyle mi z tej przestrzenności, co innemu właśnie z szubienicy – pomyślał, smętnie zwisając. – Będę tak wisiał dopóty, dopóki mózgowica moja grzeszna, gdy jej dokuczy zbyt wisielcze w przestworach stanowisko, krwią się własną w końcu nie zachłyśnie. Wprawdzie upiorzysko chciwe dotąd jakoś butów mym nogom nie ujęło, aleć na pewno znajdzie w tej próżni dookolnej i chwilę odpowiednią, i miejsce stosowne, aby mię z butów wreszcie raz na zawsze ogołocić i nieobutego z wygod doczesnych na niewygody wiekuiste do krainy cieniów zapędzić. Będę się po onej krainie na bosaka wałęsał i u wrót raju, próbując, wystawał!

Tak myślał rozgoryczony Tajemnik, starając się zwiśać jak najwygodniej, aby przeciwnym przyrodzeniu położeniem duszy i ciała nie uszkodzić, aż tu nagle poczuł, że dukaty i talary, korzystając z odwrotnej jego względem siebie postawy, wysuwają się powoli ze wszystkich kryjówek, których im gościnnie udzielił.

Chciał tym zdrajcom ucieczkę nagłą dłońmi obiema zawczasu przeciąć, ale dłonie miał wciąż bezwładne.

A właśnie pierwszy stojniś złoty, najbardziej widać niecierpliwy, bez szmeru wymknął mu się zza pazuchy i, połyskując skupioną w swym szczupłym zaokrągleniu powierzchnią, powędrował kędyś ku padołom. A chciało mu się jeszcze w tym samowolnym odlocie przedrzeźniać na oczach Tajemnika gwiazdę spadającą, która niby przypadkiem

przeznaczone w niebiosach miejsce opuściła.

– Do widzenia! – szepnął Tajemnik ze wzgardliwym i gorzkim uśmiechem.

W tej samej chwili czapka, jakby żegnając złotego zbiega, zsunęła się z głowy Tajemnika i spadła w otchłań wraz z ukrytymi w niej dukatami.

W ślad za nią reszta dukatów i talarów wysypała się z kieszeni i zza pazuchy i gromadnie zaroiała się w powietrzu, jak pszczoły z dziupli wykurzone.

Tajemnik zubożał nagle w przestworach niebieskich i dawna nędza zaskoczyła go znowu, w miejscu od ziemi wielce odległym.

W miarę jak się pozbywał cennego balastu, upiór coraz wyżej wzbijał się z nim w powietrze.

Lecieli dość długo.

Starał się Tajemnik godziny zgadywać, lecz poniechał wkrótce tej pracy mitrężnej i bezowocnej.

Wydało mu się bowiem, że jakiś zegar popsuty we łbie mu się zagnieździł i nie tyle czas odmierza, ile zastojem i przewłoką życie mu obrzydza.

Dobrnawszy do jakiegoś, upatrzonego zapewne, miejsca w przestrzeni, upiór skręcił nagle już to na prawo, już to na lewo.

Trudno było zajętemu uciążliwym zwisaniem Tajemnikowi rozróżnić prawy kierunek od lewego w chwili, gdy mu się cały świat do góry nogami odwrócił.

Dość, że upiór skręcił, i dość, że w tym samym czasie

Tajemnik, ile zdołał zauważyć, zauważył niezwłocznie jakąś postać, która naprzeciw nim, lecąc, zdążyła.

Gdy ów zaoczny z dala przechodzień napowietrzny zrównał się z nimi, Tajemnik głowę odwróconą ze zdziwienia rozwarł na chwilę, poznając w onym przechodniu samego Piórkowskiego.

Piórkowski nie spojrzał nawet na dawnego znajomego, jeno znak dłonią dając, do upiora się zwrócił.

– Zaczekaj no, waść, napowietrzniku zawołany! – krzyknął, dłoń na powitanie wyciągając. – Chcę ci ulżyć brzemienia, które, na opak do rąk twych przytwierdzone, straci głowę pierwej, nim ją rozumu nauczysz!

Przystanął upiór w próżni i wąsem sierzdście poruszył.

– Sprzedaj mi tego grzesznika, który na darmochę i zgoła niezasłużenie odbywa dzięki twym gniewom podróż, przyrodzeniu jego wcale niedostępną. Dam ci za tego wisielca z przypadku zapłatę sowitą i niebywałą.

I, mówiąc to, Piórkowski pieczołowicie i nie bez czci wyciągnął z kieszeni talara i dukata, które to księżyc na stopach Tajemnika był złożył.

Poznał je natychmiast Tajemnik po błysku księżycowym.

A błysk ów olśnił upiora, bo niezwyklego był pochodzenia. Ślepie zaiskrzyły mu się we łbie, jakby kto siarniki, o parcianki zręcznie potarte, do dwóch, ognia chciwych, knotów przytknął niespodzianie.

– Zapłata przednia i godziwa! – zawołał znowu Piórkowski. – Tego oto talara dam ci za ciało, a dukata za duszę wspomnianego

urwipółcia.

Kiwnął upiór głową na znak, że targ ubity.

Ściągnął niezwłocznie buty z nóg boleśnie tym uczynkiem dotkniętego Tajemnika i wręczył Piórkowskiemu nabyte w przestworzach brzemie.

– Wolę go bez butów niż w butach – zauważył mimochodem Piórkowski. – Bosa winien do rąk się moich dostać tak samo, jak bosa przyszedł na ziemię.

Zanim Tajemnik należycie kości swoje znużone wyprostował, Piórkowski ujął go pod ramię i jednocześnie dał upiorowi talara za ciało, a dukata za duszę.

Pochlebila Tajemnikowi ta postronna zresztą okoliczność, że i kupiony był nie byle jako, i sprzedany niezgorzej.

Upiór, zapłatę otrzymawszy, poleciał dalej, czerwonymi butami zwycięsko potrząsając, i zginął wkrótce w oddalonych nocnych.

Jeno się po nim purpurowy odblask butów w ciemnościach na odlotnem zapóźnił.

Tajemnikowi, butów nagle pozbawionemu, markotno zrobiło się na duszy, jakby go kto niemiłosiernie osierocił lub wraz z butami urodę mu całą odebrał, której zresztą natura dać – nie dała.

Chociaż, ściśle mówiąc, sam te buty ukradł, miał ci takie żałosne wrażenie, jakby mu je właśnie przed chwilą skradziono.

A chociaż nogi jego nawykły do bosej po ziemi włóczęgi, po raz pierwszy w życiu zaznał dokuczliwego wstydu,

który mu ognistym rumieńcem gębę nie tylko osmalił, lecz jakoby spoliczkował na widok tych nóg do cna obnażonych w miejscu tak zewsząd widocznym i otworzystym, a tak poczesnym i wielmożnym, bo i w pobliżu nieba, i nieopodal tej nieskończoności, gdzie wszystko, poczynając od gwiazd, a kończąc na powietrzu, ma pozór odświętny, jakby tam panowała nieustanna Niedziela, wiekuistą beczynnością pilnie zatroskana.

– Co czynisz? – zapytał nagle Piórkowski, przyglądając się zbląkanemu na gębie chłopu rumieńcowi.

– Wstydzę się... – szepnął Tajemnik, nogami bosymi w powietrzu kłopotliwie przebierając.

Piórkowski zrozumiał.

– Nie przystoi chłopu wstydzić się nóg bosych – zauważył surowo. – Tak ci w tym rumieńcu do twarzy, jak ślepemu w okularach! Bo i jakież to niedobór w swej grzesznej gębie owym rumieńcem zalałeś? Bacz, by ci się przed czasem w ogień piekielny nie rozżarzył! Do piekła jeszcze kęs drogi mamy. Zblednij raczej, bo czas nagli, a piekło się zbliża!

I Piórkowski pomknął chyżo, wlekąc za sobą nabytego za księżycową jałmużnę grzesznika.

Trzymał go wciąż pod ramię – na pozór przyjaźnie i poufale.

Czuł się tedy Tajemnik i wygodniej, i czcigodniej niżli w towarzystwie upiora, a i prawidłowiej, i należyciej, gdyż ciało jego odzyskało postawę przyrodzoną.

Krew odbiegła mu od głowy, a ręce i nogi pozbyły się

dreńtwoty i bezwładu.

Lecieli wszakże tak szybko, że tchu mu w piersi brakło. Nic mówić nie mógł i nic naokół nie widział, bo w tym locie rozszalałym wszystko się zmaciło w jakąś nierozwikłaną i co chwila znikającą przejrzystość, z której jeno od czasu do czasu wyłaniał się zgiełk światła, natłok cieni i bezoporna ciżba pyłów srebrnych, zapewne z drogi mlecznej wywianych.

Piórkowski też milczał zawzięcie, oddany całkowicie swym lotom.

Śpieszno mu było dotrzeć do celu.

A celu tego nie przewidywał, o butach czerwonych zadumany, Tajemnik.

Niósł go Piórkowski po bezdrożach napowietrznych, po rozstajach niebieskich, po kniejach śródgwiezdnych.

Niósł go tak długo, aż wreszcie zaniósł na sam kraniec świata, gdzie nie ma wokół nic, prócz chyba tego właśnie krańca...

Na onym krańcu postawił go, wielce zdrożonego, zajrzał mu w oczy, mgłą umęczenia, niby bielmem śmiertelnym, pociągnięte, i rzekł:

– Skrzep się w sobie, bo za chwilę do piekła cię wtrącę!

Poruszył Tajemnik we łbie ociężałymi białkami i gęby nieco rozwarł.

– Nie wtrącisz – odrzekł stanowczo. – Nie wtrącisz, bom nie twój!

– Mój jesteś, bom cię kupił! – zaprzeczył Piórkowski.

– Kupiłeś mię za mego własnego talara i za mego własnego

dukata, które mi księżyc ku ozdobie i ku pociesze na bosych stopach złożył.

– Podarowałeś mi te klejnoty przygodne, a teraz ponieważ chcesz darowiznę cofnąć? Mój jesteś i basta! Przygotuj się, bo zaraz z tego krańca świata zepchnę cię do pobliskich czeluści piekielnych!

– Nie zepchniesz! – odpowiedział znowu Tajemnik. – Obiecałeś mi przecież ojcować, a chcesz się po macoszemu ze mną obejść?

– Zapomniałeś chyba, że się onego ojcowania co prędzej wyrzekł – odparł diabeł głosem zniecierpliwionym.

– Wyrzekłeś się – to prawda – szepnął Tajemnik – lecz nie wyrzekł go się Ten, który mi zawsze po wieczne czasy będzie ojcował.

– Nie będzie! – zaprzeczył diabeł z wielkim ożywieniem i z widocznym niepokojem.

– Będzie! – upierał się Tajemnik i dłoń wznosił ku czołu, aby znak krzyża uczynić.

Ale dłoń, którą niegdyś samochcąc zatrzymał w powietrzu, skamieniała teraz bez ruchu naprzeciw czoła tak, że nie mógł zapoczątkowanego znaku krzyża dłonią ową dokończyć.

Wówczas jej było z drogi, teraz – po drodze, jeno sama droga postroniła się, widząc unikając grzesznej dłoni.

Diabeł spojrział na ową dłoń i rzekł z pogardą:

– Zaczekam, aż się zmęczysz i dłoń ową opuścisz, a wówczas zawładnę twym ciałem i duszą.

– Nie opuszczę jej nigdy! – odparł Tajemnik z mocą.

– Opuścisz, gdy ci sił zabraknie i gdy się przekonasz, że Ów, do kogo ją wzniosłeś, nie będzie ci ojcował!

– Będzie! – upierał się Tajemnik.

– Nie będzie! – zaprzeczał diabeł.

– Będzie!

– Nie będzie!

I znowu spojrzał diabeł na wzniesioną dłoń Tajemnika, czekając, zali¹⁹ już prędko ją opuści, zniewolony umęczeniem.

Wszakże czekał na próżno.

Minął wiek, minął drugi i trzeci, a Tajemnik dłoń jak trzymał, tak trzyma. Mimo bólu, mimo znużenia nie opuszcza swej dłoni, która znak krzyża jeno zapoczątkować ongi zdołała.

¹⁹ *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

Majka

Działo się na pierwszy dzień Zielonych Świątek²⁰. W maju ów dzień wypadł. Marcin Dziura nie po bożemu go spędził, bo w karczmie. Milczał i pił, pił i milczał. Trudno nawet powiedzieć, czego mu więcej było potrzeba – picia czy milczenia. Jedno i drugie zarówno było niezbędne.

Inni gawędą stosowną wódkę zabarwiali, a on siedział odludnie wpodłe²¹ ściany i pił sam do siebie, jakby się przed chwilą dopiero ze sobą samym pokumał²² czy pobratał.

Tęsknota go jakaś bezimienna opadła i do samotności niewoliła.

Nie umiałby nawet opowiedzieć, jak owa tęsknota na oko wygląda, po co przyszła, czego chce i ku czemu się garnie.

Wiedział jeno, że mu serce w piersi coś tak sparło, jak czasem dech w gardle spiera.

Już od tygodnia czuł, że mu czegoś braknie, a określić braku nie potrafił.

– Niech sobie – powiada – i nadal w swym nieokreśleniu

²⁰ *Zielone Świątki* – daw. ludowe święto wiosny, w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego 7 tygodni po Niedzieli Wielkanocnej. [przypis edytorski]

²¹ *wpodłe* (daw.) – obok. [przypis edytorski]

²² *pokumać się* – daw. gw.: zostać czyimś kumem, tj. ojcem chrzestnym jego dziecka a. teściem tego dziecka; wejść z kimś w jakieś istotne relacje (dziś: dogadać się z kimś, nierzadko w złych zamiarach). [przypis edytorski]

przebywa, jeśli mu tam dobrze i wygodnie.

Na próżno młynarzowa, rok temu jeszcze owdowiawszy, gdy Dziura przed tygodniem o tym braku i o tej tęsknocie jej prawił, stan jego bezzenny mimochodem skarciła.

Nie słuchał jej Dziura, a brak tymczasem coraz się zwiększał, jakby rósł na drożdżach za piecem. I teraz oto, w karczmie siedząc i poczucie onego braku rozważając, wymiarkował, że mu właśnie wódki zabrakło.

Ale nadaremno wódką brak ów starannie wypełniał. Przekłętę poczucie trwało nadal. Dzień cały Dziura w karczmie przetrwał, a nocą, gdy właśnie inni na dobre schodzić się zaczęli, karczmę nagle opuścił.

Wyszedł ze wsi w pole, pszenicą przesłonięte.

Noc księżycowa, z równią kłosów pszenicznych zetknięta, w miejscu onego zetknięcia dymiała światłem błękitnawym, rozwidniając odmienne cokolwiek, bo srebrzyście wybiegłe tu i ówdzie ponad równią kłosa samotne, dorywczo wybijałe, które to zazwyczaj stróżami przezywają.

W powietrzu pachniało jak we młynie.

Idąc brzegiem pszenicy, Dziura dłoń płazem sunął po jej grzbietach posłusznie falujących, bo mu przyjemnie było za pomocą dłoni porozumiewać się z ich gładkością i ochłodą, jakby właśnie tą dłonią światło księżycowe zgarniał.

Zgarniał je kęs czasu, aż tu nagle dłoń na jakąś przegrodę natrafiła, i nie na zwykłą przegrodę, jeno na żywą, bo czuł Dziura

że owa przegroda czy to postronąć²³ się, czy to umknąć usiłuje.

Zanurzył dłoń głębiej w pszenicy i niezwłocznie pochwycił coś, niby sznur jedwabny.

Pociągnął za sznur i widzi, że to nie sznur, lecz warkocz złocisty.

Pociągnął tedy za warkocz, a tuż za warkoczem głowa się czyjaś z pszenicy wychyla.

Głowa dziewczęcia, a w ślad za głową – szyja biała, a w ślad za szyją ramiona młode, obcisłe...

Zaniechał Dziura dalszego pociągania.

Dość mi na tym, com po ramiona obejrzeć zdołał – pomyślał nie bez słuszności. – Tyle się tego z pszenicy wyłoniło, że już można z tym wyłoniątkiem i pogawędzić, i o rodowód zapytać. Wystarczy!

Pochylił się nieco i, warkocza z rąk nie wypuszczając, zajrzał do oczu błękitnych, ponad pszenicą, jako dwa świetlaki, jaśniejących.

– Domyślał się, coś za jedna! – powiedział. – Majka jesteś i basta! W pszenicy w noc Zielonych Świątek rusałkujesz²⁴, czatując pewnikiem na przechodniów urodziwych, brakiem czegoś nieokreślonego niby pokusą dotkniętych.

– Puść mnie! – jęknęła Majka, gdyż ona to była we własnej osobie.

²³ *postronąć się* – odsunąć się na bok, usunąć się. [przypis edytorski]

²⁴ *rusałkować* (neol.) – być rusałką; czas. utworzony od rzecz. rusałka (boginka, nifma). [przypis edytorski]

– A jak puszczyć – to co? – zapytał ciekawie Dziura.

– To nic – odrzekła Majka po krótkim namyśle.

– Nie głupim! – odparł Dziura. – Nie puszczyć!

Wiatr łanem pszenicznym kolejno i stopniowo zakołysał, i kołysanie owo z nieznacznym opóźnieniem udzieliło się mży²⁵ błękitnej, którą księżyc ponad łanem rozetlił.

Zdawało się, iż te łany, aż do zawrotu głowy falowaniem objęte, mają dno tak samo chwiejne i niestałe jak powierzchnię.

– Nie puszczyć! – powtórzył Dziura, zgrubiałymi od pracy palcami wyczuwając miękkość i bezbronność jedwabistego i zwilżonego rosą warkocza, który w tym miejscu, gdzie go uścisk dłoni zdławił, zagrzał się i od zagrzewku parował wonią ziół polnych.

Majka z wolna po pas się wynurzyła z pszenicy.

Dziura w te pędy poprzez źdźbła pszeniczne zerknął ukosem do głębi i ujrzął resztę jej ukrytego ciała.

Była ta reszta łuską szczelnie pokryta i ogonem rybim zręcznie zakończona.

– Trzebaż ci było tak trafnie się zacząć, a tak szpetnie zakończyć? – spytał nie bez żalu. – Do pasa rzetelnie i uczciwie, wedle wszelakiej stosowności, jako ten sprzęt Boży uciosana, a od pasa – obraza oczu ludzkich i pośmiewisko, niebu i ziemi postronne²⁶!

²⁵ *mża* – rzecz. utworzony od czas. mżyć (tu: świecić rozproszonym, słabym światłem); lśnienie, poświata. [przypis edytorski]

²⁶ *postronny* – tu: obcy, niewłaściwy, niepotrzebny, niechciany. [przypis edytorski]

– Tegom się bała najsrożej, że do pasa mnie uznasz i przygarniesz, a od pasa – nie uznasz i postronisz – szepnęła boleśnie Majka. – Czekałam na ciebie w pszenicy, jak się czeka w alkowie²⁷

²⁷ *alkowa* (daw.) – sypialnia. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.